

Jarmark niejarmarczny

Ostatnie promienie zachodzącego słońca kąpią się w bursztynowej głębi chłodnego piwa. Zapach grillowanych potraw przyjemnie drażni nozdrza. Nad radosnym gwarem unosi się równie szczęśliwa ludowa muzyka. Chłonę to wszystko i czuję, że po sesyjnych trudach naprawdę wróciłem do domu. Jest sobota. W Sierpcu trwa Kasztelania...

Na miejsce dotarłem około godziny 19. Jako pierwszy element imprezy moją uwagę zwrócił, odbywający się tego dnia przed Domem Kultury „Jarmark Sztuki”. Uderzyło mnie to zestawienie „jarmarczności” ze Sztuką. Ten oksymoron natychmiast niejako rozkazał mi przez chwilę się nad nim zatrzymać. Początkowy sceptycyzm ukrył się gdzieś za rosnącą fascynacją. Zobaczyłem bowiem kulturę w czystej, ludowej postaci, niezasmieconą najróżniejszymi ozdobnikami. I nie było w moim zainteresowaniu krzty młodopolskiej chłopomanii, raczej zachwyt nad tym kawałkiem małego dziedzictwa. Sztuka prosta, ale bynajmniej nie prostacka, delikatna w formie, oczywista w treści... piękna. Jako „przedsionek” tegorocznej Kasztelanii ten jarmark sztuki niejarmarcznej nastroił mnie bardzo pozytywnie.

Zająłem miejsce po „spożywczej” stronie imprezy. Ze sceny dobiegały wesołe odgłosy ludowych pieśni i bardzo zaangażowany głos prowadzącego. Otaczały mnie gromadki rozdyskutowanych piwoszy do których całym sercem w tej chwili należałem. I poczułem, jak bardzo tego typu festiwale są potrzebne. Jako odskocznia od codzienności, jako forum, jako spotkanie z kulturą, wreszcie choćby jako element narodowego narzekania dla samego narzekania, który mimo to nie traci na popularności. A nie traci dlatego bo takie cykliczne imprezy wrastają w naszą świadomość i bez nich czulibyśmy się puści. Tak koło Kasztelanii, wprawione raz w ruch, nie zatrzyma się już w nas samych. Czasem nie zdajemy sobie sprawy jak bardzo kształtuje to naszą lokalną odrębność. Rozglądałem się, słuchałem, tykałem chwilę, popijając lokalnym bursztynowym specjałem.

Na scenie tańczył dziecięcy zespół ze Słowacji, nieopodal zauważyłem artystów o południowych rysach, bodajże z Półwyspu Iberyjskiego, do moich uszu dotarło echo zespołu ze znanego mi Torunia. Wszyscy oni przywieźli ze sobą cząstkę tego, co nazywamy „swojskością”. Zobaczyłem „lokalność” daleką od infantylności, ale łatwą w odbiorze i, co najważniejsze, radosną, pełną optymizmu i ufności. Dzięki Kasztelanii te „małe ojczyzny” połączyły się we wspólnym chórze głosów, bliskich naszej codzienności, ale oderwanych od jej szarżyzny i „pospolitego skrzeczenia”. To też ważna funkcja tej imprezy, która poza rozrywką ma chyba pokazać nam, że piękno potrafi chować się w stogu siana, drewnianej chałupie, prostocie życia, po prostu „za rogiem”.

Trochę to wszystko do przesady poetyckie i może zbyt mało krytyczne. Ale wrażenia są subiektywne, więc i ich opisy muszą takie być. Zostawiając suche relacje wszelkiego rodzaju annalistom, przyznać muszę, że mój zaledwie trzygodzinny pobyt na Kasztelanii zapamiętałem mile. Było coś dla ciała i coś dla ducha, dzięki czemu zrzuciłem narosłe w ciągu roku pióra przesadnej „miejskości” i przypominałem sobie skąd jestem i że jestem z tego dumny. Może to i jarmark, ale własny. I bynajmniej nie jarmarczny.

Marcin Sumowski

Subiektywnie (p)o Toruniu

Promienie wiosennego słońca, przedzierające się przez garniec marcowej pogody sprawiają, że rozbudzone z zimowego snu ciało, wręcz krzyczy o orzeźwiający spacer. A kiedy, w niedzielne popołudnie, ma się niejako „pod ręką” wspaniałą toruńską starówkę, przechadzka staje się przyjemną koniecznością. Ostatnio, tak nieśmiała dotychczas wiosna, chwyciła mnie w swoje ramiona, a jej delikatny powiew zawiódł mnie w stronę Rynku Staromiejskiego.

U wejścia na ulicę Chełmińską, lśni w promieniach słońca, charakterystycznie biały budynek Teatru im. Wilama Horzycy. Ta, ważna na toruńskiej scenie kulturalnej instytucja, powstała w roku 1904, jako wyłącznie niemiecka. Zaprojektowała go znana wówczas spółka wiedeńskich architektów Fellnera i Helmera. Od roku 1920 teatr nabral polskiego oblicza. Zmieniono zespół aktorski, a w repertuarze pojawili się Fredro, Mickiewicz, Wyspiański czy Krasiński. W okresie wojny i okupacji budynek służył jako niemiecka opera i operetka, by w czerwcu 1945 roku znów przejść w ręce polskie. Właśnie w tym okresie w teatrze działał jego dzisiejszy patron (od 1960), wybitny teatrolog i reżyser, Wilam Horzyca, będący jego dyrektorem w pierwszych latach powojennych. Dziś teatr ten jest czołową sceną województwa kujawsko-pomorskiego i prawdziwą wizytówką kulturalną miasta.



Pomnik Mikołaja Kopernika

Podążam dalej ulicą Chełmińską, niejako cofając się w przeszłość, gdzie „gotyk jest na dotyk”, jak głosi hasło promujące miasto. Bo tutaj rzeczywiście historii da się dotknąć. Mijam barokowe kamienice i wkraczam na Rynek, nad którym dumnie góruje wieża Ratusza Staromiejskiego. To jedna z największych i najpiękniejszych tego typu budowli w Europie. Najstarszym jej elementem jest właśnie wieża, wzniesiona w drugiej połowie XIII wieku, a w sto lat później podwyższona do obecnej wysokości 40 metrów. W pierwszej połowie XV w. uzyskała ona spiczastą iglicę, dziś niestety nieistniejącą. Zwieńczono ją złotą koroną, będącą symbolem niezależności mieszczańskiej i wyrazem niemieckiego powiedzenia „Stadtluft macht frei”, czyli „Miejskie powietrze czyni wolnym”. Wdycham to tchnienie wolności z radością, i po raz kolejny przekonuję się, że tu, w Toruniu, średniowieczna formuła nie straciła na aktualności.

Przechodzę obok pomnika najbardziej znanego torunia. Tradycyjne miejsce spotkań, jak co dzień jest oblegane przez tłumek spacerowiczów, oczekujących kogoś, by wraz z nim w ten piękny dzień chłonąć uroki nadwiślańskiego miasta.